



## PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austryackim we Lwowie u Gubrynowieca i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowineyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowineyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgera i Spół. kwartal. 5 marek.

## IMPROWIZATORKA.

DEOTYMA. Wybór poezyi. Ksiąg dwie. Warszawa. 1898.

Gdyby tajemnicza Sybilla, ważąc na pięknych ustach swoich losy przyszłości, była przemawiała wierszem do słuchających ją w zadumie Greków, byłaby niezawodnie wybrała do swych roczni głęboką w myśli, a szerokoskrzydłą w formie poezję Deotymy, która, jedyna po Ursulce Kochanowskiej improwizatorka polska, stanowi typ twórczości zupełnie odosobniony w swoim rodzaju i skończony we wszystkich cechach swej indywidualności. Żaden talent, choćby nawet wielki, jeśli nie ma osobnego daru improwizacji, nie może go nabyć, ani też cech jego sobie przyswoić. Poezja ma różne źródła swoje; improwizacja jest źródłem gorącym, rodzajem termu poetycznej, która bije w górę wysoko, kipiąc i powleka formę w właściwą krystalizację swego żywiołu. Poezje Deotymy, nietylko improwizacje, ale wszystkie jej liryki są z tego wrzącego źródła rodem, z kąd wyszły stworzone jednym rzutem myśli, jednym porywem zapału.

Ciekawym byłoby studium psychologiczne nad tą dziwną mocą snucia z siebie wspaniałej przędzy natchnienia tak wprost z ducha, bez muzułu i trudu, na to jednak trzeba by plan duży zakreślić.

Dziś mamy przed sobą dwa tomy Poezji Deotymy i o nich tylko mówić zamierzamy. Pomimo wspólnego piętna, jakie poezje te noszą, pomóżdzielić je można na trzy działy: improwizacje, ody i kantaty i drobniejszych kilkanaście liryk; wszystko to jest bliźnio rodzeństwem między sobą pod względem pędu ducha, a ody i kantaty są

tylko krótszemi improwizacyami. Deotyma jak Sybilla owa przemawia w swoich poezjach, głosi swe idee, mówi tak, jakby widziała zawsze przed sobą wielki tłum ludzi, słuchających z uwagą; tak jak Rosa Weneda stoi nad falą wypadków i tylko o wielkich rzeczach śpiewa, o wielkich ideach i wielkich prawdach, i zawsze w fali jej pieśni znać, że ona płynie od morza ideału do morza ludzkości, szeroka, prosta, potężna, jakaś plemienna i epokowa. Temu głębokiemu nurtowi towarzyszy odpowiednia forma, wiersz jedenasto lub trzynastozgłoskowy, przełamany czasem jakby dla nabrania oddechu, przeplatany strofami o krótszym rytmie, jakby fala jaką rafę przeskakiwała, o doborowych, silnym, dobitnym rytmie, jakby miarowych uderzeniach o tarczę, towarzyszących pieśniom Druidów.

W improwizacyach zatytułowanych: Taniec, Lilia, Rzeźbiarstwo, Kamienie, Rzeczywistość i wyobraźnia, Góry, Odpowiedź, Sen i Trzy różę, autorka dotyka najrozmaitszych strun ducha, sztuki, przyrody, wdzięku i grozy, tęsknoty i powagi, kamienia i serca, prawdy i pomyłek, i gdy sobie wyobraźmy, że to kiedyś, w liczonym gronie, tak prosto z duszy—mówiła, dziwno się robi człowiekowi, że to tak Pan Bóg niektórym ludziom daje, i zaraz na pamięć przychodzi: no, ale też tylko taka—Jedna jest w literaturze.

Może to osobiste upodobanie, ale najwięcej lubię te improwizowane: „Góry;“ niech tam zajrzy każdy młody autor i niechże dobrze przestuduje, jak to mądrze, jasno i przesłicznie piętrzą się jedne nad drugimi porównania, kończące każdą strofę. To prawdziwe czarodziejskie bogactwo, zaklęte skarby wyobraźni, które autorka kilofem swego rymu odkopuje z pokładów zewnętrznego wrażenia. Te „Góry“ są raz „Świata zwojem;“ to znów „Ziemi koroną;“ „Dolin zegarem;“ „Paziami słońca;“ „Oazą życia;“ „Orłów warownią;“ „Czołem odwagi;“ „Marzeń namio-

tem;“ „Hełmem zniszczenia;“ „Ludów szkatułą;“ „Trójnogiem pieśni;“ „Arką tajemnic“ i „Ołtarzem świata!“ Jakim sposobem się to wszystko dzieje? jak można tyle razy porównanie wywołać i to coraz silniejsze? Jakim sposobem?—Cudownym, i koniec. Cud ten leży najpierw w darze, bez tego nic, potem w ogromnym wykształceniu, dalej w niezmiernie czujnej obserwacji, a nakoniec w tem, że tak powiem, wyznowem odosobnieniu ducha, w jakim żyje i tworzy Deotyma. Ona ma swoje własne Patmos i tam miewa swoje widzenia, nie troska się o wir współczesny, zna przeszłość, patrzy przecuciowo w przyszłość, a terażniejszość niewiele ją obchodzi. Sybilla popostru: Czoło w obłoku przeszłości, sercem pukado wrót przyszłych tajemnic, z terażniejszości ma tylko słuchaczów tłum. I—sławę. Ten tłum nie był dla Deotymy ani głuchym, ani niemym, zdobyta stał się falą.

Między odami, hymnami i kantatami, jak: „Do Przyrody;“ „Do Pokoju;“ „Do Słowa;“ „Do Miłości;“ najoryginalniejszą jest: „Oda do czynu.“ I znów tutaj „czyn“ wypływa ze źródła natchnienia, jako „Namiętności“ i „Rozumu;“ „Marureczy syn;“ a dalej: jako „Czasu i wieczności—Nieśmiertelny syn!“ a potem jako: „Cnoty i człowieka—“ „Przepromienny syn!“ Bohaterem „Słonecznej Kantaty“ jest nietylko Kopernik sam, ile „Prawda;“ ta zdobyta i darowana światom przez „prawodawcę niebiosów.“ Z lirycznych poezji wspaniałe są: „Orszak pogrzebowy;“ „Stanowisko kobiety;“ „Modlitwa;“ „Geniusz.“ a jest także parę liryk ulotnych, lekkich formą, w które jednak z natury rzeczy wpaść musiała poważna perła filozoficzna lub etyczna.

W tym całokształcie dwutomowym „Wyboru Poezji“ mamy zestawioną całą lirykę Deotymy i widzimy, że to jest rodzaj liryki najwyższej nastrojony, rodzaj patetyczny, przypominający grecką lirę, a z nowszych poetów ody Leopardiego lub niektóre hymny Klopsztoka. Nic tu

nie ma światowego, codziennego, jest przyroda, duch, Bóg i czas, słońce i myśl, piękno i ból, ale ból nie ten, który chodzi za człowiekiem i gniewie go troską albo szarpie w serce, lecz ten ból, przez który on tworzy sztukę, tęskni za sławą, wiecznością i dobija się zagadnień niedomówionych przez Stwórcę. Wszystko to brane z wysoka, klasycznie, pieśń nosi grecką chlamidę, trzyma lampkę Westalki, a jeśli się rozbawi, zawsze to igraszka nie ziemianki, lecz nimfy, która poswywoli z ludźmi i umyka do swego Parnasu; zawsze to muza, która zna osobiście ludzi z padółu płaczu, ale sama zdala się trzyma od ich namiętności, braku miary, szalów i doczesnych cierpień. Dla tego też, gdyby kto szukał w tych poezjach wyraźnego współczucia dla nędzy, odzwierciedlenia współczesnej szarpaniny ducha w społeczeństwie, usiłowania rozwiązania zagadnień socjalnych, lub tych okrzyków bólu, jakimi odezwie się w życiu choć raz każde człowiecze serce wśród ciężkiej drogi życia, pracy, walki—tutajby tego nie znalazł; do mlecznej drogi poezji Deotymy dochodzą fale z ziemi, ale nie głosy, to też jej pieśń uwzględnia ze swej wyżyny ludzkość i czas, a nie człowieka i jedno życie

Jedna idea współczesna zawdzięcza autorce świetny, iście programowy wiersz, w którym wybornie określonym zostało o co chodzi. Z przyjemnością to podnieść możemy, że to jest „sprawa niewieścia.“ Już w „Piosence przy gotowalni“ zaznaczyła poetka, że: „Trzeba—dodać tylko parę mód:“

„Kto wie? Ziarnko niesie plony.  
„Może z próbką tak nieznaczną  
„Lepiej będzie świat rządzony,  
„Gdy kobiety nosić zaczną—  
„Hełmy, laury i korony!“

To było powiedziane półżartem, a „Stanowisko kobiety,“ zrozumienie położenia naszego, wyraziła autorka zupełnie trafnie, mówiąc:

„Dotąd aniołem była lub szatanem,  
„Dzisiaj, chce zostać—człowiekiem.“

Oto jest właśnie treść wszystkiego, czego pragniemy, bo jeśli się i my mamy poczuwać do tego, że:

„Niczego duchy wieków napróżno nie czynią przed Panem,“

To nie możemy dalej zostać na tem stanowisku, jakie niewiasta miała dotychczas:

„Jej ręce okute w pęta,  
„A na jej włosach korona,  
„Przez wszystkie wiary wyklęta,  
„Na wszystkich ołtarzach czczona!“

Nie, każda z nas woli już dziś być — człowiekiem. Rozumie to już dobrze wyrobniça, matka, nauczycielka, a odczuwa i wielka poetka w słonecznej prawdzie swego umysłu.

Są poeci, którzy drobiazgowo opracowują liryki swoje; w tych cackach wypielegnowanych artystycznie, odbijają się rzeczy wielkie jak w tęczowych kroplach rosy ogrom nieba; celował w tem Ely. Niektóre jego poezye są jak kwiaty otwarte ku przestrzeniom świata i w drobne kielichy wchłaniające eteryczne echa prawd olbrzymich. U Deotymy jest przeciwnie, harfa jej rozciągnięta między biegunami ideału i rzeczywistości, nawet drobniejsze objawy życia dostraja do szerokiego swego hymnu i w doczesności doszukuje się objawów pierworodnego początku, którego źródło bije daleko i wysoko nad ziemią. Dla tego też, gdy życie nas znuży, gdy pył osiadzie stopy nasze, a skrzydła w ciężkiej walce wlec się zaczynają po ziemi, dobrze jest wziąć w rękę pieśni Deotymy, które człowiekowi zawsze przypomną, że jest prawda, która nie zawodzi że jest niebo nad głową, które się nie brudzi, że jest piękno, które nie mija i natchnienie, które mocą swojego światła przetrwawia gorycze, błędy i pokusy ziemskiej wędrowni człowieka.

Jak nam źle będzie, znudzi nas małość, marność i mierność otoczenia, otworzymy podwoje tych pięknych dwóch ksiązek, odpoczniemy w nich jak w cichej bogów kontynie i posłuchajmy co tam mówi—Sybilla...

Szczesna.

## Za progiem raj.

CYKL PIOSNEK.

III

Rozmowa z Beduinami.

PERL.

Pozwólcie mi, beduini,  
Przy waszem usiąść ognisku,  
I smętne oczy utopić  
W wesołych ogni połysku;  
Pozwólcie mi, beduini,  
Po długiej odpocząć drodze,  
Kurz włosy moje pokrywa  
I ostre ciernie mam w nodze.

BEDUINI.

Usiądź-że, dziecię stroskane,  
Gościnność u nas w zwyczaju,  
Z jakiej wędrujesz krainy?  
Z bardzo daleka? co?

PERL.

Z raj.

BEDUINI.

A nas dopiero raj czeka —  
Gdy skończym z życia zarzewiem.  
A dokąd wędrujesz dalej?  
Milczysz? gdzież idziesz?

PERL.

Ja nie wiem...

BEDUINI.

Nie wiesz? to źleś się wybrała!  
Błędna wędrowniça cię czeka,  
Na ziemi trzeba znać drogę.  
A czego szukasz?

PERL.

Człowieka.

BEDUINI.

Ha, ha! wszak krocie są ludził!  
Ale masz słusność, o, dziecię,  
Nieźmiernie jednak jest trudno  
Znaleźć człowieka na świecie.

PERL.

A wy, gdzie, bracia, dążycie?

BEDUINI.

O, każdy z nas w inną stronę!

PERL.

Więc ty, najstarszy w tem kole?

BEDUINI.

Ja moje kroki zmęczone  
Do Świętej wiodę Medyny,  
Długo na świecie już żyłem  
Do wiecznej czas mi dziedziny.  
Żyłem, cierpiałem, kochałem,  
Śmiertelna zbliża się meta,  
U stopni świętych ołtarzy  
Śmierć, da mi raj Mahometa.

Po długiej walce i znoju,  
I drodze życia burzliwej,  
Odpocznę w błogim spokoju,  
Wolny od troski...

PERL.

Szczęśliwy!

A ty, ogromny Arabie,  
Któremu oko tak płonie,  
Kędy ci droga wypada,  
Ku jakiej zwrócisz się stronie?

BEDUINI.

Oh! dla mnie jeszcze dalekie  
Uroki cichej mogiły,  
Miecz w mojem ręku się pali  
A z duszy bucha zdroj siły.  
Z świętym młodości zapalem  
Ja dążę w życia bój mściwy,  
Niezlomny duchem i ciałem —  
Zwycięzę wszystko!

PERL.

Szczęśliwy!

A teraz, powiedz mi, proszę,  
Spokojny ty bedui ie,  
Gdzie tobie droga się ściela,  
Po złotych piasków równinie?

BEDUINI.

Do domu, dziecię, do mego,  
Gdzie rosną palmy dokoła,  
Żona z uśmiechem mnie czeka  
I dwoje dzieci mnie woła.  
Co miesiąc jadę ja tędy  
Na wiernym mym dromaderze,  
Wiozę arabskie kadzidla  
Na wielkie targi w Denderze.  
A żona tymczasem w domu  
Gromadzi kwiaty i ziola,  
I czeka na mnie z uśmiechem,  
A dwoje dzieci mnie woła...  
Oh! ja ich czuję tuż, blisko,  
Chór ich radości krzykliwy  
Już mnie dolata... Już czuję  
Ich na mem sercu...

PERL.

— Szczęśliwy!

A ty, najmłodszy farysie?  
Smutek ci z oczu wygląda  
I głowę ciężką opierasz  
O płową grzywę wielbłąda?

BEDUINI.

Ja także stęskniony idę  
Do czarodziejskiej Medyny,  
Tylko, że dla mnie świątynią  
Jest serce mojej dziewczyny!  
Jej oczy—to jak wschód słońca,  
Jej uśmiech—wieczna pogoda,  
Jej głos—to w skalnej szczelinie  
Szumiąca przeczyszcie woda.  
Ona jest serca płomieniem  
I strzałą marzeń cięciwy,  
Ona mej myśli motylem  
I światłem życia!

PERL.

— Szczęśliwy!

Lecz patrzcie! o, Beduini!  
W ognisku gasną płomienie,  
Za chwilę, głuchej pustyni  
Nocne ogarną nas cienie.  
Co widzę! wasze wielbłądy  
Kolana kornie zginają,  
Siadacie?

## BEDUINI

Czas nam już w drogę!  
 Tam na nas w świecie czekają,  
 Każdy ma cel swój na ziemi,  
 O, dziecię, ciebie to dziwi?  
 Hej, w drogę, Allah! do celu!  
 Allah, 'yś wielki!

## PERI

Szcześliwi!  
 A ja, przy zgasłym ognisku,  
 Na tej pustyni bez końca,  
 Czyż znowu noc tak przecierpię  
 I nie śpiąc—doczekam słońca?  
 Co oni wszyscy mówili?  
 O jakimś słodkim spokoju,  
 O czynnej życia pełni  
 I szczęścia rozkosznym zdroju!  
 Kędyż ta cudna Medyna  
 Gdzie miłość na progu czeka,  
 Żona i palma, dziewczyna...  
 Witają z drogi człowieka?  
 O, jak tu ciemno, jak głucho...  
 Myśli jak tłum beduinów  
 Lecą bezmiernie stęsknione  
 Do życia, szczęścia i czynów!  
 A górą mkną karawany,  
 Tych gwiazd błyszczących miliony,  
 To moja cudna ojczyzna—  
 Ach! to mój raj utracony!  
 Ja między niebem a ziemią  
 Błądzą za śladem człowieka,  
 A za mną raj się już zamknął—  
 Przedemną ziemia ucieka.

Szczęsna.

## Regina Żółkiewska

hetmanowa w. koronna.

SYLWETKA HISTORYCZNA.

(Dokończenie).

Co się musiało dziać w sercu hetmanowej po przeczytaniu tych listów, jaka trwoga śmiertelna musiała ją ogarnąć o życie dwóch najdroższych na ziemi istot: męża i syna! Widziała męża opuszczonego od rycerstwa, potykającego się z nieprzejrzanymi chmurami Turków i Tatarów, widziała syna złożonego ranami w obozie; wprawdzie ojciec w liście do króla zapewniał, że się z nich wyleczy, lecz serce matki nie dało się tem uspokoić. A jednak nie straciła głowy ani na chwilę; natychmiast po odczytaniu listów, zebrała klejnoty i kosztowności, jakie miała pod ręką, i wyprawiwszy gońca z listem do małżonki, sama pośpieszyła do bratanka, mieszkającego w Zamościu. Stary kanclerz kor. był niegdyś opiekunem jego młodości, niedawno obecnym był na ślubie jego z księżniczką Ostrogską; teraz małżonka opuszczonego od wszystkich wódza przybywała, błagając o ratunek dla niego. Złożywszy na ręce p. Tomasza wszystkie owe kosztowności, prosiła, by zaciągnął za nie żołnierza ku odsieczce. Z tego to czasu właśnie pochodzi ów list Reginy Żółkiewskiej, tak wymowny w swojej krótkości:

„Jasnie Wielmożny Mśwy Panie

Wojewodo Kijowski! \*)

Wczora o 17-ej godzinie kozak przez Kamionkę jechał... Jeno jeden list był do J. Kr. Mości,

a do mnie go nie było, a cito, citissimo na liściech. Kozacy powiadali, że się wielkie wojska nieprzyjacielskie ruszyły. Dla Boga; Jmśc, ludzi zbierz ze wsi... (tu kilka słów zatartych), nieprzyjaciel pocznie a kupą gdzie ku Ukrainie się ruszać... Zaczem W. M. Panu Bogu poruczam. Dan, roku 1620. WMści Regina Żółkiewska ręką swą.“ Na liście napisano po trzykroć: Cito! cito! cito! (pilno).

W tych kilkunastu słowach, napół już zatartych przez czas, czuć całą trwogę zrozpaczonego serca żony i matki, która szuka ratunku na wszystkie strony i nie może go znaleźć.

Wprawdzie pan Tomasz Zamojski natychmiast w okolicy kazał uzbrajać własnych chłopów, rozesławszy na to kilkadziesiąt tysięcy złotych, rozpisal listy do różnych panów, a zięć hetmana, wojewoda Daniłowicz, od razu wystawił dwiestu ludzi, ale wszystko to jednak zabrakło niemało czasu. Wojewoda kijowski uczynił jeszcze więcej, bo wydał odezwę do braci szlachty, wzywającą do dania pomocy ginącym, 14 Października wyruszył Tomasz Zamojski na czele 800 ludzi zebranych, mając się w Bałcie połączyć ze szlachtą, która chciała iść na odsiecz hetmanowi.

W drodze spotkali gońca, wiozącego list od kanclerza do małżonki, z niego dowiedzieli się najlepiej o położeniu wojska obleżonego, — ani chwili do stracenia nie było. Pan Tomasz odesłał list do Żółkwi, gdzie się zgromadziła cała rodzina hetmana, to jest żona, córka Daniłowiczowa i wnuczka Tosienka, aby razem oczekiwać na wieści z pola bitwy i modlić się o ocalenie tych, co teraz znajdowali się w takim niebezpieczeństwie. List ów warto przytoczyć w całości, bo doskonale maluje piękny stosunek, jaki łączył hetmańską parę, oraz wiarę i rezygnację, cechującą każde słowo Żółkiewskiego:

„Miłościwa jejmość pani a pani małżonko ma, sercem ukochana, a wieczyście miła! Tak było i tak będzie, aby prawość i sława narodu naszego nie zaginęła, Pan Bóg wszechmogący dopuszcza utrapienia, by ciało w wojnie hartować i umysł zaprawiać do dzieł rycerskich. Tegoż utrapienia nie koniec i nie koniec łaski Pana Boga świętej, która nas wszędy utrzymywała i nieprzyjaciółom tamę w bitwiech stawiać rada była. Jakoż kiedychmy się zabierać radzi do utarczki z pohanej tego świtania, odebrałem pisanie waszej miłości, mojej sercem ukochanej i wieczyście miłej małżonki, toż pociechę słówek kilku, a kto wie, może być, że i ostatnie pożegnanie. Jam pewien, że wasza miłość ukochana i miła małżonka, czytając to moje pisanie, nie będzie żalić starca i sił mych, a chociażby i życia dla obrony Rzeczypospolitej i chrześcijan. Toż ta pociecha będzie sercu memu. Tu w obozie jakby jakowy rokosz powstał, tak się rycerstwo spiknęło, by na własną zgubę i chęć koniecznie odejść od sprawy, że onych ledwie uhamować mogłem. Skinder Basza i Gałga nie chcą już wiedzieć o układach i gotują się dać stanowczą bitwę. Przetóż nie turbuj się wasza miłość, najukochańsza małżonko, Bóg czuwać będzie nad nami, a chociażby i poległ, toż ja stary i na usługi Rzeczypospolitej już niezdatny, a Pan Bóg wszechmocny da, że i syn nasz, miecz po ojcu wzięwszy, na karkach pohan zaprawi i chociażby tak było jak rzekłem, pomści się krwi ojca swego. Na wypadek jakibądź zalecam waszej miłości, najukochańszej małżonce, miłość dla dziatki, pamięć na me zwłoki, bo je styrałem na usługę Rzeczypospolitej... Co Pan Bóg chce ze swej łaski dać, niech się stanie; a wola jego święta będzie nam miłościwą do ostatka życia naszego. Z tym mnie modlitwom i łasce waszej miłości, najukochańszej jejmości polecam i dziatki nasze na Pana Boga pamiętać upominam. W obozie pod Cecorą, die 6 Octobris 1620. Jejmość do zgonu kochający małżonek i ojciec, Stanisław Żółkiewski, hetman w. koronny.“

Mimowoli przychodzi tu na myśl listy Jana III do Marysieńki, — jakże znać w nich, że to już inne czasy i inni ludzie!

Po tym liście hetmanowa już tylko w Bogu miała nadzieję. Wkrótce też padły dwie groźne wieści: o zniesieniu wojska nad Dniestrem

i o wtargnięciu Tatarów. Jakoż niedługo trzeba było czekać na sprawdzenie tej ostatniej wieści; pewnego dnia rodzina hetmańska, zebrana w Żółkwi, ujrzała z okien zamku groźne łuny, wznoszące się nad okolicznymi siołami. Szczęściem, że ów poczt, zgromadzony za staraniem hetmanowej, spostrzegłszy, że już nie ma po co iść nad Dniestr, zawrócił się, by zabiedz drogę Tatarom, a podjazdy przezeń wysłane odparły ich od Żółkwi. Tatarzy pociągnęli dalej, pod Lwów, gdzie zastąpił im drogę Zamojski.

Tymczasem w zamku żółkiewskim z trwogą oczekiwano nowej jakiej wieści o rycerzach cecorskich. Powracały wprawdzie z za Dniestru gromady zbiegów i niedobitków, ale nie umiały powiedzieć o nikim z tych, których los tak mocno obchodził zebrane tutaj osoby. Wiadomo było, że tak hetman w. koronny, jak i zięć jego, hetman polny, Stanisław Koniecpolski, tudzież syn, synowiec i siostrzeniec, wraz z zastępem znamenitszego rycerstwa i wojska, ogółem około 3,000 ludzi, pozostali za Dniestrem, nie chcąc haniebnie uchodzić przed nieprzyjacielem; ale jaki los ich spotkał później, czy zginęli, czy dostali się do niewoli, tego nikt nie potrafił wyjaśnić. Dość, że żaden z Żółkiewskich nie powracał do zamku i zdawało się, że dom ten spotkała już ostateczna zagłada.

Zbolała hetmanowa wysłała zaufanych ludzi na wybrzeża dniesnowe, aby się tam dowiedzieli o losie męża i syna. Okazało się, że hetman poległ; ciało jego z uciętą głową i ręką prawą znalezione było przez Tatarów po ostatecznym rozbiciu wojska na pobojuwisku, głowę zaś Skinder Basza odesłał do Stambułu. Jan Żółkiewski ranny dostał się do niewoli i znajdował się u tatarskiego sultana Dewlet Giraja; w niewoli również znajdowali się: Łukasz Żółkiewski synowiec, Aleksander Bałaban siostrzeniec i Stanisław Koniecpolski, zięć hetmański.

Tułów bez głowy wykupili zaraz wysłańcy wdowy i przywieźli go do Żółkwi, donosząc zarazem hetmanowej, że za wykup syna żądają olbrzymiej na owe czasy sumy 200,000 talarów. Nieszczęśliwa kobieta postanowiła najpierw zajmując się pogrzebaniem zwłok mężowskich, a potem rozpocząć starania o wykupienie syna z niewoli, oraz głowy małżonki, wiszącej w bramie pałacu sultanskiego w Konstantynopolu.

Cały kraj wzięł udział w żałobie hetmanowej i towarzyszył jej długiem nabożeństwem, bo z powodu strasznej klęski publicznej arcybiskup nakazał wszędzie 40-dniowe nabożeństwo żałobne, z procesjami po ulicach. Lud modlił się, bił się w piersi, widząc karę Bożą w owym nieszczęściu, które dotknęło kraj po dotychczasowych pomyślnościach.

Ciało sędziwego wódza zostało złożonem w grobach pod kościołem żółkiewskim ale szanując wolę jego, wyrażoną w testamencie, unikano wszelkiej pompy, tylko, jak to również wyraził w ostatnim rozporządzeniu, zamiast czarnego aksamitu, trumnę okryto szkarlatem, a to „na znak wylania krwi dla Rzeczypospolitej.“ Nieprzeliczone tłumy towarzyszyły żałobnemu pochodowi, a pan Jakób Sobieski, który miał później poślubić wnuczkę hetmańską, dziękował w imieniu całej rodziny za cześć wyrządzoną zmarłemu.

Po pogrzebie znękana matka musiała myśleć przedewszystkiem o wydostaniu syna z rąk tatarskich. Nieznalazło się na to dość pieniędzy w zamku żółkiewskim, ale były jeszcze na szczęście srebra i kosztowności, po wydobyciu których, hetmanowa udała się z prośbą do króla aby jej pozwolił na wybijanie z nich pieniędzy. Za zgodą króla zaczęto bić w Żółkwi talary na okup, a tymczasem matka gromadziła pieniądze gdzie tylko mogła, aby zebrać żadaną sumę. W liście pisanym do Zamojskiego, od którego żąda oddania jakiejś dawniej wypożyczonej kwoty, woła z jękiem prawie: „Jeśli mi waszmość tej sumy nie oddasz, ja syna tracę.“

A jednak nie upadała na duchu ta mężna niewiasta, krzątała się, starała, aż dokąd okupu nie zgromadziła, który natychmiast wysłano do Krymu. Po kilkunastomiesięcznej niewoli Jan Żółkiewski stanął w progach domowych, obla-

\*) Do Tomasza Zamojskiego.

## PAMIĘTNIKI

## Adaminy z Bielskich Moszczeńskiej.

(Dalszy ciąg)

XVII.

## Szlachta zagonowa.

ny przy powitaniu łzami matki i starszej siostry. I kiedy znów rodzina zgromadziła się w ścianach zamku żółkiewskiego, kiedy rozpoczęły się smutne rozpamiętywania zaszłych nad Dniestrem wypadków, kiedy syn wzruszonym głosem opowiadał matce o bohaterskiej śmierci ojca, w duszach obojga wciąż tkwiła myśl, że muszą spełnić niedokonane jeszcze dotąd zamiary. Matka myślała o wykupieniu ukochanej głowy, która wisiała we wrotach seraju, a syn myślał o pomszczeniu śmierci ojcowskiej. W czasie długich wieczorów zebrani domownicy słuchali opowiadań, jak poległ sędziwy hetman; syn przywodził ostatnie słowa jego w chwili, gdy mu, opuszczoneму od wszystkich i mającemu tylko przy sobie garstkę wiernych, podawano po kolei trzy konie, błagając, aby się ratował. Gdy pierwszego przysłał mu syn, kazał odpowiedzieć: „Gdzie owce giną, tam powinien i pasterz, boby go się spytano: gdzieś podział owce?” Innemu, ofiarującemu mu konia, odrzekł: „Nie wsiądę; miło mi przy was umierać. Niechaj Pan Bóg nademną wyrok swój, który uczynił, kończy.” Gdy mu wreszcie podał konia dawny zięć, hetman polny, odpowiedział: „Proszę cię, ty wsiądź nań a uchodź. Meliori fortunae serva te, a ja swym tułowem nieprzyjacielowi niechaj drogę zawalę.”

Te to wielkie i pamiętne słowa powtarzano sobie teraz z religijnem niemal poszanowaniem, a tymczasem w duszy Jana Żółkiewskiego dojrzał ów zamiar pomszczenia śmierci ojcowskiej. Zwierzył się z nim wreszcie przed matką; szło tu o opanowanie Krymu z pomocą Niżowców. Próbował już być tego Jazłowiecki i omal mu się nie udało, Jan Żółkiewski mniemał więc, że jemu powinno się udać, ponieważ kierowały nim tak wzniosłe pobudki. Matka nie sprzeciwiała mu się wcale, nadto miała w sobie bohaterskiego ducha, a zresztą nie chciała iść wbrew woli małżonka, który w ostatnim swym liście wyraził nadzieję, że syn pomści się kiedyś za śmierć jego. Pobłogosławiła go więc tylko na drogę i młody Żółkiewski, nie wypocząwszy nawet jeszcze dostatecznie po ciężkiej niewoli w Krymie, nie wyleczywszy się w zupełności z rany, otrzymanej pod Cecorą, udał się do Warszawy, by tam pozyskać poparcie dla zamiarów swoich. Wszystko szło pomyślnie, król jakkolwiek otwarcie nie przyzwał, jednakże potajemnie sprzyjał owemu planowi; pomiędzy rycearzami znalazło się także mnóstwo zwolenników. Lecz śmierć przecięła okrutnie wszystkie owe zamiary i plany; niedoleczona rana cecorska zaabiła młodego mściciela w 28 roku życia.

Hetmanowa tymczasem starała się usilnie o wykupienie głowy małżonka w Stambule i dopięła wreszcie tego właśnie przed samą śmiercią syna. I prawie jednocześnie przywieziono jej głowę męża i zwłoki jedynaka — ostatniej nadziei domu, aby je złożyć wspólnie w grobach rodzinnych w Żółkwi.

Ten cios złamał nieszczęśliwą niewiastę. Oto została jak posąg żalobnej Nioby na grobach swoich ukochanych i mogła zawołać wraz z Jeremiaszem: „O wy, wszyscy, którzy idziecie przez drogę, obaczcie a przypatrzcie się, jeśli jest boleść, jako boleść moja!”

Umarła w rok po śmierci jedynaka w 1624 r. i pochowaną została obok męża i syna w tej samej Żółkwi, gdzie za życia tyle szczęścia i tyle boleści zaznała.

A nad brzegami Dniestru jeszcze do niedawna w stepie sterczał samotny słup kamienny, — był to pomnik, wzniesiony przez Reginę Żółkiewską pamięci ukochanego „małżonka i ojca.”

Marya Łopuszańska.

— Nudy opanowały mnie tem bardziej, gdy poznałam pełnię życia. Dotąd byłam tylko dzieckiem, pensyonarką klasztorną i nieświadomą ludzi mężatką. Poznawszy świat na małym dworze książęcym, sądziłam znowu, że gdy utworzę coś podobnego około siebie, znajdę szukane zadowolenie. Nie mogłam sąsiedzkich zawierać stosunków obok męża, który się nie wydał za pracowni swojej nawet dla użycia świeżego powietrza, tem mniej był skłonny do oddawania przyjacielskich wizyt.

— Trzeba mi było poprzestać na tem, co mnie zblizka otaczało. Sprosiłam na obiad w niedzielę moich ekonomów z żonami, leśniczego z córkami; wszyscy oni byli szlachtą częstkową, jakiej w sieradzkim wiele jest; — służyli na honor. Zdawało mi się, że nie ubliżam sobie, przypuszczając ich do stołu mego, ile że ten zwyczaj widziałam zachowany u babki mojej kasztelanowej Chlebowskiej w Gołuchowie. I tak było z tym lekkim odcieniem, że tam nie znajdowały się ich żony ani córki, jeżeli która z nich nie była już w domu zaszczytnie zasłużoną. Uszło to mej dziecinnej baczności i wprowadziło w błąd, jaki po dłuższej dostrzegłam rozwadze. Nie umiałam pojąć, dla czego nie smakowałam w przybranem towarzystwie; były to wszystko kobiety uczciwe, pracowite, pobożne; niziutko mi się kłaniały, a więc grzeczne; opowiadały wiele o swych dzieciach, gospodarstwie i o wypadkach naszych wieśniaków. Ja, nie wzniosłszy się jeszcze do uczuć filantropijnych, ziewałam, aż mi oczy łzami zachodziły.

— Prosiłam, żeby mi zaśpiewały; popatrzyły na siebie, zawstydziły się, ale gdy nalegałam, poszeptały między sobą, a jedna z nich zapytała mnie najpokorniej, czyli pobożne mają śpiewać pieśni lub też światowe piosenkę? „Śpiewajcie światowe, to się rozweseli!” Jak zaczęły nieśmiało znaną o Filonie drżącym z zakłopotania głosem, jedna piszcząc, druga skrzecząc, trzecia przez nos, a każda z innego tonu, same poznały, że się nie zgadzają — i to na moje szczęście, bo co z początku śmiać się zaczęłam do rozpuku, to nakoniec i niedobrze mi się robić zaczęło. Pomniarkowały filutki, że mnie tem nie ubawią, ale uderzyły w opowiadania o moich sąsiadkach. Odtąd niewyczerpane miały źródło; zbierając cały tydzień wiadomości okoliczne, bawiły panią w niedzielę.

Przywyczaivszy się do tego trybu życia, cieszyłam się na święta, bo czego do mojej gazety brakowało w rzeczywistości, to dobre dworcinie przybierały w barwę swej wyobraźni i domysłów, natworzyły cudów. A kiedy mi się zdawało, że znam postępowanie wszystkich sąsiadów, nie przestawając z nimi, miałam po większej części błędne o nich podania, na jakie zwykle ludzie z niskiego patrzący stanowiska zdobyć się zdołają. Trzeba było częstować moich gości stosownie do ich smaku, a zatem miodem i ponczem, który jeszcze lepiej usposabiał do gawędy.

— Była to parodia dworskiego bytu, niszcząca we mnie zaród urojeń, a nie prowadząca do szlachetnej rzeczywistości.

— Tymczasem stan umysłu męża mego pogorszał się; mało go widywałam, i on tego nie pragnął. Szafarka, stara pani Grzegorzewska, jedynie miała przystęp do jego laboratorium, jak je sam nazywał. Tam pracował, jadł, spał i pocieszał się dystylacyami pani Grzegorzewskiej, która śliczne jałowcowe, kalmusowe i anyżowe pędziła wódki. Humor jego stawał się dzi-

kim, a Grzegorzewska spłakana przybiegała z tą nowiną, która, jakkolwiek mnie zasmucała, nie naprowadzała mnie przeciw na żadną myśl, jakby zapobiedz złemu. Zdaleka żyłam od matki, nie dowiadującej się o mój los; tak była bowiem zajęta młodszą rodziną, że tylko z publicznej pogłoski posłyszawszy o moim pobycie na dworze księżnej i że oprócz tego nigdzie nie bywam, zupełnie została zadowolona, sądząc, że gust wiedzie mnie do wyższych tylko społeczeństw. Ograniczona w mojej znajomości pospolitych spraw życia, nie znałam okropności mego położenia.

— Te same towarzyski, które sobie z nudów przybrałam, jakkolwiek niestosowne, otworzyły mi oczy na przepaść, nad którą stałam.

— Naopowiadawszy mi dosyć o innych, donosiły mi, jakie o mnie mają mniemanie w sąsiedztwie. Ojcowie i bracia moich zawiadowczyń, jako bracia szlachta, mieli po części wstęp do rozmaitych dworów okolicznych, a kiedy się szesli w swojej zagrodzie, bawiąc pod wystawą domu, to zebrane o możniejszych przetrząsali wiadomości.

— I tak, pani Wróżbicka, ekonomka, posiadająca umiejętność kabalistyczną, powiadała mi, że mają nas za dumnych magnatów. Ze się z nikim oprócz z książętami nie wdajemy. Inni, powiadała, utrzymywali, że mąż mój czarownik, a ja zaklęta, ponieważ nie widują nas, mnie tylko czasem w kościele pod kwefem, bo podobno że nie mam „panienek“ w oczach, i dla tego ich nie dam widzieć, co znaczyło, że się też wykie-ruję na czarownicę.

— Druga, pani Wiedziszewska, dodała: „z przeproszeniem Jejmości Dobrodziejki, jabym coś ważniejszego mogła powiedzieć, ale nie śmiem, boję się...”

— Dla czego? Wszakże waśkom wszystko wolno mówić!

— Ale to... trochę gorzej...

— Gorzej jak czarownica?

— No to już powiem... Oto mówią, że JW Pani niespełna rozum... a potem, że JW Pani nie mając dzieci.. mogłabyś być bardzo stratną; ale ja tego tak skleić nie umiem, jak ojciec mój, bo on prawnik jakich mało, chociaż chudy pacholek.

— Przeniknęło mnie zdanie o moim małżonku, równie jak i wniosek o stratach, jakie ztąd dla mnie wyniknąć mogą; nie rozumiałam wcale tego związku, ale pojęłam, że może mieć pewną zasadę. Uważałam odtąd Wiedziszewską jako życzliwą przyjaciółkę i nie wahałam się bynajmniej zaprosić ojca jej do siebie pod pozorem innego interesu.

— Przybył na chwilę oznaczoną i zastał mnie samą. Był to starzec osiwiały, pochylony, w szaraczkowym kontuszu; żupan miał jedwabny, wypłowiały i takiż pas, spinkę bursztynową u kieszuli, na palcu sygnet z herbem w krwawniku wyrzyniętym, w rękę laska z srebrną galką i czapka rogatywka wypłowiała, czerwona. Słonił się grzecznie, a nie uniżenie. Wskazałam mu miejsce, usiedliśmy.

— Daruj mej śmiałości, panie Wiesiowski, że nieznajoma wezwałam cię.

— Zaszczyt dla mnie, Mcia Dobr.; jej dobroć dla córki mojej już dawno pobudzała mnie do złożenia hołdu wdzięczności, a dziś następcza mi się ta upragniona sposobność.

— Uważam ją jako przyjaciółkę, bo mi dowiodła prawdziwej przychylności, ostrzegając o niebezpieczeństwie, jakie mi ma zagrażać, a na które niedoświadczenie moje obojętna mi być dozwalało. Odpowiedz W. Pan mojej ufności w nim położonej i chciej mnie oświecić, czem jestem zagrożona, gdyby, czego, Panie zachowaj, małżonek mój miał uleść nieszczęściu, jakie mu przepowiadają?

— Nie mam honoru znania JW. Pana, ani też jestem doktorem, abym mógł sądzić o stanie zdrowia jego. To tylko, co jest pogłoską, rzucaną w okolicy, powtórzyłem przez przychylność dla nieszczęśliwej młodej pani, tak niewinnie opuszczonej od rodziny, równie jak zaniechanej od małżonka. Jest to starodawne przysłowie: „wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi.” A tak,

choć pani żyjesz w odosobnieniu, to przecież zatrudniają się jej osoba, a że po nici do kłębka się dochodzi, więc też powzięto wiadomość, że Jmć Dobr. matka W. Pani Dobr. wyszła w drugie zamężcie, nie zabezpieczywszy ojcowizny swej jedynaczki w osobie JW. Pani; że ojezym, JW. generał, przyzwycający do przepychu, trwoni dostatki przez s. p. ojca jej zostawione; że potomstwo z drugiego małżeństwa JW. generalowej mnoży się, a przeto i na dział macierzysty liczyć nie można. A gdyby JW. Panią miało spotkać nieszczęście utracenia małżonka, zostawszy bezdzietną, albo — co na jedno wypada, gdyby pogłoska o stanie umysłu jego stwierdziła się, — natenczas: w pierwszym przypadku rodzina jego zabrałaby spadek, a w drugim, wyrobiłaby kuratele; na jeden, czy na drugi sposób wyszłaby JW. Pani jak panna z tańca, to jest bez funduszu, a poświęcenie jej osoby fortunie, jak zdaje się, w wysokiej swej mądrości zamierzyła jej szanowna matka, — stałoby się naderemnem.

— A cóż ja mam czynić — zawołałam ze łzami — aby zapobiedz takiemu nieszczęściu?

— Najprzód niech JW. Pani zanotuje sobie dobrze w pamięci kategorie przeczemnie rozbrane i uda się najspieszniej do godnej matki, zasięgnie rady rodziny swojej, utwierdzi w pamięci co wyrzekną, a jeżeli moje najpokorniejsze zdanie uzyska jakąkolwiek ufność, chciej WPani Dobr. objawić, jakie zaszły umowy, natenczas rozważę, czyli poprzestać na udzielonej radzie krewnych, lub szukać jej u przyjaciół, których pani przy niezasłużonym swem nieszczęściu zapewne znajdzie, za co jej moim szlachetnym zaręczam honorem.

— Nazajutrz byłam już na drodze ku Poznaniu. Spieszyłam z udęczeniem, jakiego jeszcze nigdy nie doznawałam, chodziło o przyszłość moją; pierwszy raz w życiu pomyślałam o niej.

— Matka przyjęła mnie z czułym uzaleniem; wyrzucała, że jej nic nie donosiła, a ja nawet nie znalazłam dotąd potrzeby udzielania się rodzinie osobiście czy listownie, bo wśród obojętności zewsząd doznanej sądziłam, że tak się powszechnie dzieć powinno, a raczej nie zastanowiłam się wcale nad temi stosunkami, w jakich przeżyłam te lat kilka zamężcia mego.

— Gdy opowiedziałam niemal cały bieg życia w oddaleniu przepędzonego, pominawszy krótkie chwile przebawione dorocznie w Poddebicach, przekonano się, że dziwaczny związek mój najnieroztropniejszym był pomysłem, a usunięcie mnie z koła familijnego okrucieństwem.

— Żalowano, radzono i odradzano. Jedni chcieli rozwodu, inni życzyli, aby wymódną na mężu moim odrezygnowania na imię moje dóbr, będących jego własnością, pod tytułem wynagrodzenia wniosku posagowego, który nigdy nie miał miejsca. Nie było też nikogo, coby się chciał odważyć na tę propozycję, a tem mniej doprowadzić ją do skutku. Wszystko to byli ludzie ze sfery ojezmy mego, zajęci bawidłami i bawidelkami; brali udział tkliwy w mej niedoli, rozczulali się, ale nie posiadali ani znajomości interesów, ani też byli zdolni do poświęcenia.

— Odjechałam z tem przekonaniem, że prawdziwe uczucie i moc duszy prędzej w skromnym zakęcie, aniżeli pośród maryonetek wielkiego świata spotkać można; a jakkolwiek nie ufałam losowi mojemu, przecież spuszczać się na rzetelność i dobre chęci starego Wiesławskiego, zaraz nazajutrz po przybyciu do domu, postanowiłam odwiedzić go sama. Wiedziszewska uprzedziła ojca parę godzin naprzód, dla tego zastałam wszystko świątecznie.

— Przebywając kabryoletem wieś długą, zamieszkaną przez tak zwaną zagonową szlachtę, uważałam, że wszystkie domki, jakkolwiek szczupłe, różniły się pozorem od zwyczajnych chałup. Pomiędzy temi siedzibami zieleniące sadki i ogrody, obrabiane po większej części rękami właścicieli, mieściły na grządkach swoich warzywnych mnóstwo kobiecych postaci, nachylonych w białych pudermantlach i osłonach głowy z białego rąbkowego fartuszka, obowiązane tak, że z przodu naśladował przezroczy

okrąg kapelusza, a na plecy spadając swawolnie, igrał w powietrzu; pielące rączki okryte były rękawiczką z obstrzyżonymi palcami, a wśród kwiecia i zieleności, te białe tajemnicze postaci przypominały mi cienie pól elizejskich, o których nie wiem gdzie czytałam.

— Były to damy zagonowe, zasiadające w niedzielę wzystkie ławki kościoła parafialnego, występujące w fryzurach tak pięknie utapirowanych, w lokach przezroczyście jak gaza, w sukniach skromnych, ale zgrabnego kroju, tak, że możniejsze panie zazdrościły świeżości tych starannych przyborów. Były one owocem ich pracowitości, równie jak wyżywienie, na które w tej chwili poświęcały swe usiłowania.

— Przed domkami, na czysto umiecionem przedsienu stały ławki ku wygodzie rodziny, ochronione od słońca głęboką wystawą. Woknach zieleniał rozmaryn, rosący w doniczkach, lub tatarak, ustawiony przeciw skwarowi letniemu.

— Wyszedł na przyjęcie moje Wiesławski, wysadził z kołaski, ujął pod ramię, wprowadził do chaty, z zupełną szlachetką grzecznością niewymuszoną.

— Panna Wiesławska, córka, prowadząca dom przy owdowiałym ojcu, powitała mnie grzecznie; była przystojna, skromna, porządna w całym znaczeniu. Wyszła za chwilę, a starzec zapytał, jak mi się podróż powiodła.

— Oprócz przyjemności widzenia mej rodziny, żadnego nie przyniosła skutku.

— Jak to? I nikt nie przybędzie spróbować zachodów około interesu pani?

— Nic mi nie obiecywano! Cała moja nadzieja jest położona w radach, jakich mi udzielisz, lub wyjednasz u twych przyjaciół.

— Mogłabyś WP. Dobr. zabawić parę godzin w mej chacie? Umieszczę konie, o ludzi nie masz kłopotu, a wkrótce ujrysz tu pani godnego przyjaciela i powinowatego, na którego radę i pomoc spuścić się możesz bezpiecznie.

— Gdy wyszedł, przypatrzyłam się małej liczbie przedmiotów, służących do użytku skromnych mieszkańców. Podłogi nie było, tylko twardo ubita ziemia, posypana piaskiem i tatarskim zielem; łóżko okryte pierzyną, której powierzchnię kapa ze starożytności materii bławatnej zdobiła; zresztą obszyta była czystym płóciennym prześcieradłem. Na trzech niewielkich poduszkach poszewki białe sznurowane były, każda innego koloru, ze słowami wstążkami. Nad łóżkiem wisiała karabela, para pistoletów, zegarek mosiężny, kalendarz na sznurku, obrazów świętych kilka, relikwiarz i krzyż; pod nim wianki święcone i palma, różaniec kokosowy i gromnica długa, gruba, biała, na wstędze zielonej. Na wszystkich drzwiach nakreślone były kredą święconą litery G. M. B. Pod oknem stolik, a na nim kilka książek: żywoty św. Pańskich, katechizy, ołtarzyk złoty i łaćńska księga do nabożeństwa, psalterz i kilka prawnych dzieł, zielnik, lustro zamknięte, mydelnik i szczotka. Na środku stół, pod oknem drugiem skrzynka i 4 stolki, jak wszystko inne prostej roboty, czysto utrzymywane; kominek pięknie umieciony, na nim ustawiony snopek świeżego tataraku zasłaniał okopcone miejsce.

Zadumana siedziałam chwilę, gdy wszedł ojciec, za nim córka niosąca na talerzu poziomki, do nich mleko słodkie; nakrywszy stół czysto, z uprzejmością niewymowną zaprosiła do skromnego posiłku, do którego wraz z ojcem zasiadła. Rozmowa toczyła się o rzeczach zwyczajnych; rozpatrzyliśmy ogródek, sad i wirydarzyk pod oknem alkowy panińskiej; a gdy dojrzałam krosienka, zapytałam zdziwiona:

— Przy tylu zachodach jeszcze i do haftów Waćpanna czas znajdujesz?

— Czegóż się nie poświęca na chwałę Bożą!

— Odsloniła chustkę i ujrzałam prześliczny wieniec róż z imieniem Jezus złotem haftowanym na białym atlasie.

— Czy to poduszka na ołtarz? Ależ to kosztowna ofiara!

— U nas też kosztowności nie masz, oprócz tych, które na przyozdobienie kościoła przeznaczamy. To co byłoby śmiesznem w chacie, tam ma swoje właściwe miejsce.

— Gdzież cię uczono tak pięknych robót?

— Matka przeznaczała mnie do dworu i oddała na wychowanie do panien klasztornych, ale gdy ją Pan Bóg zabrał do chwały świętej, zastępując osierocone miejsce obok ojca w domu.

— Czyliż pewna intencja przywiązana do tej ofiary?

Zarumieniła się, westchnęła i odrzekła krótko: — Być może.

— A przedmiot wiadomy?

— Niech mi go sam Bóg i Matka Najświętsza wskaże! — była odpowiedź.

— Kiedy to wymówiła, wprowadza Wiesławski mężczyznę, przechodzącego już wiek młodzieńczy. Z ubioru powszedniego, polskiego, miny i sposobu przedstawienia się, poznać można było, że należy do wyższego koła społeczeństwa. Zbliżywszy się do mnie, rzekł:

— Nie pierwszy to raz mam szczęście oglądać WPanią Dobr.

— Pan sędzia Wysociński! — zawołałam, — jakże mogłam nie przypomnieć sobie!

— Bardzo łatwo: różnica miejsc, przyborów, otoczenia, nadaje ludzkie oko pozory, a na pokojach księżnej, znajdując się w blizkim jej orszaku, zapewne mniej zważałaś na ukrytego w tłumie goszczących.

— Nie zupełnie! Zdania sędziego, jego wesołe żarciki, zwracały częstokroć uwagę dostojnej gospodyni i uczyły mnie cenić wartość jego.

— A ja nie śmiałym powiedzieć, że tyle wdzięków młodocianych stało się gwiazdą, jaśniejącą na tym dworze krótkiego istnienia. Znikł on, a pani, ukrywając się zarazem, zostawiłaś tylko żal skromnym wielbicielem.

— Chciej mi, mężu, przebaczyć powtórzenie tego komplementu.

— A więc mylnie o WPani Dobrod. rzucone mniemanie w okolicy, — ciągnął dalej — gdzie utrzymują, że tylko z książętami przestawać raczysz. Dziś panię widzę w tej chacie?...

— Ja tylko szukam przyjaźni. — rzekłam z uniesieniem, — znalazłam przyjaciółkę w księżnej i zachowam dla niej nieskończoną wdzięczność. Przyjaźń sprowadza mnie równie do domku Wiesławskiego; więcej jeszcze niż przyjaźń — pomoc, której u własnej nie znalazłam rodziny...

— Zalałam się łzami, widziałam je błyszczące w oczach wszystkich przytomnych; pierwszy raz uczułam tę siłę elektryczną, jaką wzbudza serdeczny udział przyjacielski; byłabym im się rzuciła w ramiona, gdyby mnie nie wstrzymywał uczucie przyzwoitości, wpojone z dzieciństwa.

— Przygody moje już znane były sędziemu, równie jak i wszystkie inne stosunki. Uznał i oświadczył mi to w najdelikatniejszych okresach, że tylko rozwód rozplątać zdoła zakłanie, w jakie mnie wpłatała nieprzezorność rodziny. Nie tań, że mieć będę trudności kanoniczne, że lękać się należy, aby rodzina męża mego nie zdołała wyrobić kurateli, i dla tego radził przyspieszyć wykonanie zamiarów, dopóki się nie rozgłosi jego obłąkanie, zostawiające mu dotąd jasnego umysłu chwile.

— Znał babkę moją kasztelanową Chlebowską w Gołuchowie i dziwił się mocno, że się nie udaje do tej samodzielnej kobiety, najnaturalniejszej dla mnie protektorki. Zaledwie ją znalazłam, bo zagniewana na matkę moją, nie widywała jej wcale. Sędzia oświecił mnie, że gniew ten familijny ztąd pochodził, iż w drugie wszedłszy zamężcie, matka moja zapomniawszy powinności swoich względem mnie; dodał, że ta okoliczność właśnie stać się powinna tytułem do oddania się w jej opiekę, a zwłaszcza w ciągu toczącego się rozwodu i innych interesów, jakie zbytęczą byłoby rzeczą rozwijać na teraz przed moim strokanym umysłem.

— Prosił mnie, aby się zupełnie zdać na niego, zawierzył prawości jego postępowania, dać plenipotencję na imię Wiesławskiego, który się we wszystkim mnie dotyczącem znosić będzie z nim. Radził zamieszkać w Gołuchowie, gdzie znajdzie sposobność zdania mi sprawy z interesów, udzielenia przestróg i rad i przekonania

o gorliwości, z jaką będzie czuwał nad mem dobrem.

— Obróciwszy się lekko do panny Wiesławskiej:

— A jakże będzie—rzekł—z pielgrzymką do Warty na Porcyunkuli?

— I to już pan sędzia wie?

— Ojciec mi oświadczył, idąc tu; czy wolno widzieć dar pobożny?

— Dla czegoż nie?—przyniosła krosienka.

— I to pieszo się spełni ta ofiara?

— Tam idąc przynajmniej.

— A to ja—rzekłam—z powrotem powóz mój ofiaruję, bo również mam być na tym odpuszczeniu. Więc do widzenia pojutrze! — rzekłam wstając.

— Podałam rękę mej gospośi do pożegnania, ucałowała mnie w ramię, ja ją w czoło. Protektor mój i plenipotent wsadzili mnie do kolaski. Pobudzona przykładem tej panny i ja szczerą zrobiłam intencję wnieść ducha do Boga mego, aby pobłogosławił moim zamiarom, aczkolwiek zdawały się sprzeczne z ustawami świętej wiary; ależ czułam, że wszystko sprzecznością jest w mem położeniu. A potem, jadąc, postanowiłam zająć się potrochu pakunkiem rupieci moich kobiecych, wysyłaniem ich do Gołuchowa, uprzedziwszy najpokorniejszym listem babkę moją. A po odbytych odpuszczeniach w Warcie zamierzyłam wybrać się z osmuconego mego domu.

— Wiedziszewska pomocną mi była we wszystkim i nie miałam trudności ani przeszkody, bo pan domu nie wiedział, co się około niego dzieje; nie żądał żadnych rachunków z dochodów swoich. Jeżeli mu starczyło kasy na preparata chemiczne, to i o pieniądze się nie troszczył; wszystko zależało ode mnie i od wiernych ludzi, otaczających nas. Niższe usłużenie, byli poddani, przywiązani z ojców i pradziadów do rodziny, której służyli, wiedzieli wreszcie, że nie mają prawa oddać się; zawiadowcy byli szlachta, brzydząca się oszustwem przez wzgląd religii i honoru. Sumiennosc pomiędzy prostaczkami była ogólnie wywołana przywiązaniem do wiary, której obchody uroczyste i symboliczne znamiona, działając na zmysły, drogą najkrótszą dochodzą do serca tych ludzi, co pracując w polu, nie sięgają umysłem wszechwładnej potęgi, która im nadała byt i istnienie. A jeżeli się pokazywały wyjątki, to były rzadkie; występny ponosił upokorzenia, jeżeli nie kary, że mu przychodziło odrzec się przestawiania z ludźmi, czego się najbardziej lękano w narodzie tyle gościnnym, jak byli ziomkowie nasi.

— Zapytałam Wiedziszewskiej, czyli wszyscy sąsiedzi jej ojca są podobnymi jemu, a sąsiadki siostrze, bo w tym razie byłby to raj, te Magnusy, gdzie tak wiele sąsiadów codziennie z sobą przestawiać może.

— Rozmaici tam są, — odpowiedziała mi, — w tem się przecie zgadzają, że wszyscy mają punkt honoru, — tylko że też właśnie dla tego wielu staje się pieniaczami, a kobiety najczęściej ubiegają się za pierwszeństwem. Zgoda więc nie jest zupełna, chyba przy kuflu, gdzie sobie wszystko wymówią, darują i cieszą się wspólnie jak bracia.

— A kobiety?

— Mają komoterstwa, plotki, kłótnie, zgody bez końca i miary, jak to zwyczajnie między ludźmi, co zbyt często ze sobą obcuja. Ale wszyscy pracowici, poczciwi i pobożni; niech ich Pan Bóg błogosławi!

— A zkadże pochodzi taka różnica waszej od innych familij?

— Poczciwy ojciec mój, będąc w sądownictwie, byłby mógł wyjednać sobie los i fortunę; ale gdy biednym ucisnionym przeciw możnym ciemiężycielom dawał porękę, intrygą usunięty został z urzędowania i powrócił do swego ubóstwa, czysty na sumieniu, poważany od dobrych.

— Nadszedł dzień Porcyunkuli; wyjechałam do Warty, zabrawszy Wiedziszewską. Zjazd był ogromny, stroje jak na bal, ciżba, parność niesłychana. Panna Wiesławska spóźniła się cokolwiek, idąc pieszo, i już zaczęta była wielka msza, gdy weszła do kościoła, niosąc na rękę dar ofiarowany. Baczny na te okoliczności sługa kościelny robił jej miejsce pomiędzy ściśnionym

ludem, a tak powstał lekki szelest, na który pobożni nieco zwrócili uwagę, mężczyźni powstali w ławkach dla przypatrzenia się wchodzącej. W rękowej białej sukni, ożywiona rumieńcem pośpiechu, uniesiona pobożnością intencji, zbliżała się do wielkiego ołtarza z przepyszną i gustowną ofiarą. Szmer podziwienia rozszedł się i ucichł natychmiast, przytłumiony uroczystością Ewangelii. Złożyła poduszkę na ołtarzu pod mszał, z którego msza tej chwili czytana być miała.

— Pan kasztelanie Radziński nie został obojętnym widzem. Upatrzywszy nas wychodzące z kościoła, gdy sędzia podał mi ramię, on przysunął się do pielgrzymki, wyprowadził z kościoła, wsadził do powozu i pożegnał: do widzenia. Zarumieniła się panna Wiesławska; roześmiałyśmy się z jej siostrą, a na nasze prześladowania odpowiedziała, spuściwszy oczy:

— Byłoby to zbyt wielkie dla mnie szczęście, którego się spodziewać nie powinnam, gdyby nie łaska J.W. Pani, że mnie zabrała do karety, nie spotkałby mnie był ten zaszczyt.

— Nie podsadził mnie nikt oprócz lokaja, — śmiejąc się odparła Wiedziszewska.

— Uwzięłaś się dziś na mnie, to się nie godzi między siostrami.

— Niezadługo kasztelanie oświadczył się o pannę Wiesławską; miałam szczęście przyczynić do wyprawy. Córce mego plenipotentu posagu nie było potrzeba — zrobiła los. Spokojny ten i zamożny właściciel pięknej wsi, nie szukał był żony jeszcze, bo się lękał zmiany w powziętych wycieczkach, dążących do spokoju, porządku i wygodę bycia. Nie był obojętny na charakter i piękność przyszłej małżonki. Ujrawszy osobę miłej powierzchowności, pobożną, spokojną i nie ubiegającą się za światowemi pochwałami, co wyczytał z fizjonomii niewzruszonej powszechnie zwróconą na siebie uwagą, gdy przebywała kościelne tłumy, powziął chęć bliższego poznania, co też wkrótce nastąpiło.

— Jeszcze żyje wzorowe to małżeństwo, otoczone gronem pięknych dzieci. Kontenci z siebie, przestawiając tylko z rodziną, dorobili się znacznego majątku i posiadają powszechne poważanie.

(Dalszy ciąg nastąpi).



## SAMOTNA PALMA.

(Baśń arabska).

Kto raz ujrzał twe liczko jak zorze  
Ten wnet szczydzić z uwielbieniem

[stanie]

I miłości uragać nie może

Nigdy więcej. Allahu nasz Paniel  
(Pieśń ludowa arabska).

Na wschód od Kairu, po prawej stronie Nilu, od zielonych gajów i ogrodów Deltę aż po brzegi Czerwonego morza, sięga skalista pustynia arabska martwą, pustą, na pozór bezbrzeżną przestrzenią. Gdzie niegdzie szeroką płaszczyzną przerzynają skały wysokie, pokłady muszlowe lub głębokie jary, w których minione dawno stulecia złożyły szczątki drzew i tworów skamieniałych; tu i owdzie wśród piasków nagromadzonych przez wichry i burze, widnieją ślady dróg dawnych, wiodących do staro-egipskich, od wieków zaniedbanych kamieniołomów, dziś jednak nie znajdziesz tu nigdzie śladu życia lub ruchu, wszędzie spokój i cisza, groza i martwota śmierci.

W pośród tego morza suchych piasków i skał martwych, przez Boga i ludzi wyklętych, oczom pielgrzymy, który zabłądzi w te strony, ukazują się nagle rosnąca na wzgórzu samotna, zielona palma, jedyny krzew świeży na całej tej rozległej przestrzeni. Jakim cudem krzew ten z suchego łona żwirów, tu zdala od życiodajnych

fal Nilu życie swe czerpie i soki dobywa, jest istotnie zagadką, toż dziwaczne baśnie opowiada o samotnej owej palmie przesądny lud arabski.

Dawnemi laty, w pobliższej osadzie Beduinów, zwanej Memf-Sakkarah, leżącej na przeciwnym wybrzeżu Nilu żył Szeik <sup>1)</sup> bogaty i dumny, mieniący się potomkiem proroka. Chlubił się on z dawnego a zacnego rodu i z bogactw, któremi go Allah obdarzył, a przed zielonym <sup>2)</sup> turbanem, którym przepasywał skronie, pokornie schylali głowy okoliczni Beduini i wieśniacy.

Ale Allah (błogosławione niech będzie imię jego) w sprawiedliwości swojej, każdemu z ludzi małą tylko częścią szczęścia udzielił, otóż szeik Abdallah, choć miał bogactw tyle, choć namioty jego wysłane były tkaninami z Damaszku i Persyi, a na złoconych nargilach błyszczały diamenty i rubiny, nie miał niestety nikogo, komu by te skarby przekazał. Bóg nie dał mu syna, a z całej rodziny, którą śmierć mu wydarła, pozostała tylko jedyna najmłodsza córka ostatniej jego żony, uroczona piękna Leila. Cieszył się też nią jak najcenniejszym skarbem, strzegł jej, jak najpiękniejszej rajskiej krzewiny. Otoczona licznym gronem niewolnic i służebnic, wrosła młoda Leila w zagrodzie ojca niby w haremie książęcym. Nigdy białe jej rączki nie tknęły pracy <sup>3)</sup> innej, prócz misternych haftów, które wyszywała na kosztownych tkaninach.

Wychowana jednakże na wsi wpośród pustyni, używała młoda beduinka więcej nieco swobody, niż zamknięte po haremach kobiety; często w towarzystwie swych niewolnic wybiegała na wzgórze pustyni, albo też schodziła nad brzegi Nilu, dla zabawy glinianą „Güllę“ <sup>4)</sup> na kształtnej dźwigając głowie.

Czasami też towarzyszyła Leila ojcu, gdy w dniach Mulidu <sup>5)</sup> rozbijał namioty na przedmieściach Kairu, wtedy uradowane dziewczę, okryte czarną, gęstą zasłoną, przebiegało ulice miasta pod strażą wiernego murzyna, oglądając z ciekawością zbytkowne magazyny „Franków“, zakupując fraszki, świecidełka i słodycze. Leila wiedziała o tem, że jest piękną i długie godziny trawiła przed swem zwierciadłem, to wplatając monety do lśniących, czarnych a liczących <sup>6)</sup> warkoczy, to przydłużając „kohlem“ <sup>7)</sup> cień, który ciemne jej rzęsy rzuciły, albo barwiąc paznokcie sokiem wonnej „henny“.

Od jakiegoś czasu jednak smagła jej twarzyczka dziwnie smutny przybrała wyraz, a nawet jej pełne, rumiane usta straciły dawny uśmiech dziecięcej pustoty. — Leila przeczuwała, że pożegna wkrótce rodzinną zagrodę, a z nią chwile szczęścia i swobody; wiedziała, iż ojciec przemasza ją za żonę jednemu z dalekich krewnych, nie młodemu już, ale bogatemu Hassanowi. Był on również z dawnego rodu, posiadał kilka „okkelów“ <sup>8)</sup> w „Masr“ (Kairze) i miał harem z niezwykłym urzędzonym przychem. Lecz będąc dzieckiem widywała często Hassana, gdy przybywał w odwiedzinach do jej ojca a wtedy już posępna twarz jego i wzrok ponury niewymowną budziły w niej trwogę. Tego to właśnie człowieka przeznaczono jej za męża i pana.

Weselna uroczystość odbyć się miała po ukończonym poście Ramazanu <sup>9)</sup> w miesiącu „Szauał“ zawsze szczęśliwym dla małżonków i kochanków.

O wolną wolę, o głos serca, zwyczajem muzułmańskim, nikt biednej Leili nie pytał, i jej też na myśl nawet nie przyszło, aby się oprzeć mogła woli ojca i krewnych.

<sup>1)</sup> Przewódca Beduinów.

<sup>2)</sup> Potomkowie proroka mają przywilej noszenia zielonych turbanów.

<sup>3)</sup> Beduini wstydzą się pracy i kobietom swym nie pozwalają niczem się zajmować.

<sup>4)</sup> Gullha, naczynie porzyste na wodę używane w całym Egipcie.

<sup>5)</sup> „Mulid“ uroczystość religijna połączona zwykle z igrzyskami ludowymi.

<sup>6)</sup> Beduinki trefią włosy w liczne drobne warkoczki.

<sup>7)</sup> „Kohl“ czarna barwa, używana do brwi i rzęs.

<sup>8)</sup> Okkel, skład towarów.

<sup>9)</sup> Ramazan, miesiąc postu, w którym zakazane są uroczystości weselne.

Nie uszła jednak baczemu oku Abdalli zmianą zaszła w usposobieniu dziewczyny, a ponieważ rzadkim był teraz gościem w swej zagrodzie, gdyż wieczory i noce Ramazanu spędzał najchętniej w Kairze, nakazał więc starej Fatmie, piastunce Leili, aby starała się rozweselić swą panią, a zarazem strzegła pilnie każdego jej kroku.

Zapomniał stary Abdallah, iż łacniej zatrzymać w locie ptaka, gdy już skrzydła w powietrzu rozwinął, niż ustrzedz młode serce od uczuć burzy, od walki, do której Bożą wolą przeznaczono.

Pewnego wieczoru, gdy szejik Abdullah, jak zwykle otoczony służbą, do Kairu wyjechał, a w zagrodzie jego same pozostały kobiety. Leila nasłuchawszy się do woli piosnek nuconych przez niewolnice, widząc je wszystkie wesoło zebrane przy t. zw. „fatur“, t. j. wieczornej biesiadzie, namówiła piastunkę swą do przechadzki w oświetlonej blaskami księżycy pustyni. Stara Fatma nie chciała z początku zezwolić na żądanie dziewczęcia; w końcu jednak uległa prośbom i pieczętom Leili.

Wyszły przed namiot; wieczór był jasny, błękitny, jak bywają zwykle noce nad Nilem, pełno srebrzystych blasków i promieni; lekki wietrzyk przynosił z gajów Delsy woń róż i jaśminu, i cała natura zdawała się ujęta nie snem, lecz uroczem, rozkosznym marzeniem.

Ujrawszy małą łódkę na falach Nilu, kobiety nasze przepawiły się na drugi brzeg rzeki i stanęły na skalistej wyżynie, z kąd w tle błękitnym widne były oświetlone szczyty minaretów Kairu.

Fatma strwożona samotnością i ciszą z kąd już powracać chciała do zagrody, ale Leila jak zwinna gazela upojona swobodą wciąż naprzód biegła, przeskakując ze wzgórze na wzgórze. W końcu znużona piastunka usiadła na odłamie skały i oświadczyła, że sił jej nie staje na dalszą gonitwę. Rada nie rada zatrzymać się musiała Leila i stanęła opodal nieco na małym wzgórku. Sądząc się tu zupełnie samotną, odrzuciła z czoła ciężką, czarną zasłonę i patrząc z tęsknotą w tę dal tajemniczą, która dla niej jakimś zaczarowanym była światem, zanuciła znaną pieśń Beduinek:

„O stokroć miłsze namiotu łachmany,  
„Niżli więzienne pałacowe ściany,  
„I dźwięcznej w puszczy gra wichur wzbudzony,  
„Niż lutnie śpiewne, niż strojne flety,  
„I chleb w rodzinnem ognisku pieczony —  
„Słodszy, niż sztuczne w puharach Serbety.“

Kończyła właśnie ostatnią zwrotkę, kiedy tuż koło niej odezwał się dźwięczny głos mężki:

— Kto jesteś czarodziejko pustyni i jakim cudem przybywasz tu sama jedna... o tej porze?

Zamyślona dziewczyna nie spostrzegła, iż od dłuższego już czasu, młody Arab oparty o wzgórek wpatruje się ciekawie w jej uroczną, piękną, oświetloną księżycem twarzyczkę. Spostrzegłszy go nagle przed sobą, Leila krzyknęła z przestachu i uciekać chciała, ale noga jej poślizgnęła się o kamień—byłaby upadła, gdyby młody Arab nie pochwycił jej silnie za ramiona: zaczęła wołać o pomoc, ale namiętny, serdeczny pocałunek zamknął jej usta.

— Nie lękaj się,—szeptał młodzieniec.—jam nie zbójca, nazywam się Achmed ebu Ibrahim<sup>1)</sup>, i jestem synem wieśniaka z Bedziszem<sup>2)</sup>, uspokój się. Od dłuższego czasu, patrzę tu na ciebie, jak na zjawisko nadziemskie. Powiedz, kim jesteś? z kąd przybywasz? chodź ze mną?

— Puść mnie, puść! zaklinam na Allacha i święte słowa proroka,—wołała przerażona Leila,—uchodź, bo zemsta mego ojca cię dosięgnie... jestem córką szejika Beduinów Abdalli...

Na te słowa zadrżał młody Arab i opuścił ramiona.

— O Boże!—zawołał z cicha.—Czemuż w tę stronę skierowałaś kroki swoje. Tyś córką najmniejszego z Beduinów, piękna dziewczyno, a jam synem prostego Fellacha. Na toż więc cię ujrzałem, aby wnet postradać na wieki.

Na głos tej rzewnej skargi, Leila uspokoiła się nieco i drżąc ze wzruszenia opowiadać zaczęła młodemu Achmedowi o swym ojcu, o starej Fatmie, o zapowiedzianem weselu i o wszystkim, co dotyczyło jej losu.

Ale któż nie wie, jak szybko porozumieć się mogą ze sobą dwa młode serca!

Stara Fatma drzemała sobie tymczasem spokojnie w pobliżu, z głową o kamień wspartą i ocknęła się dopiero wtedy, gdy Leila stanęła przy niej,—w głos zawołała:

— Wstań! wróćmy do zagrody, noc późna. Szczęściem w zagrodzie nikt nie zwrócił uwagi na długą nieobecność Leili; niewolnice sądziły, iż wyszła z piastunką, aby, jak to zwyczajem jest w czasie Ramazanu, odwiedzić starą krewkę, na drugim końcu wsi mieszkającą.

Odtąd jednak często w porze nocnej, gdy wszyscy usnęli w zagrodzie, postać jakaś okryta ciemnym płaszczem Beduina, przekradała się w stronę pustyni. Była to Leila. Napróżno stara piastunka, której Leila całą powierzyła tajemnicę, zaklinała ją, aby nie narażała życia; młode dziewczę zapominając o niebezpieczeństwie, o woli ojca, o narzeczonym, biegło w objęcia kochanka.

Ale chwile szczęścia w życiu ludzkim są tak znikome, jak kwiaty polne; ani się spostrzeżesz, gdy wichur zdmuchnie barwne ich listeczki i w dal je kędyś uniesie.

Nie minął miesiąc Ramazanu a już jedna z niewolnic śledzić zaczęła kroki Leili i wkrótce całą wykrywszy prawdę, pośpieszyła natychmiast uwiadomić o wszystkim starego Beduina.

Dumny Abdallah nie chciał dać wiary oskarżeniu sługi; usiłował starą Fatmę zmusić do zeznań, ale wierna piastunka, chociaż o mało ducha nie wyzionęła pod biczem murzynów, nie zdradziła jednak tajemnicy kochanków. Przywołano wreszcie Leile; stary ojciec sądził, że dziewczyna do nóg mu padnie i zapewnić będzie o swej niewinności, ale Leila na wszystkie zadawane jej pytania milczała jak grób, iż tylko niby perły z oczu jej spadały a gdy ojciec zagroził jej przekleństwem, schyliła się, by ucałować jego nogi. Gniewny starzec odtrącił ją z pogardą.

— Słuchaj! zawołał,—na toż cię piastowałem i nosiłem na rękach, abys ty hańbą była rodu mego? Gdybyż choć kochanek twój równy był nam rodem; ale to podły Fellah śmiał splamić krew moją. O! nie dożyć mu jutra... nie pod nożem ale pod batem zginie!

I wściekły gniewem i rozpaczą, nabutem<sup>1)</sup>, tą straszną bronią Berninów, śmigał nad głową biednej dziewczyny.

Nie ulekkła się Leila, tylko rozpacz ścisła jej serce na myśl, że kochanka uprzedzić nie może o grożącym mu niebezpieczeństwie.

Z haremliku<sup>2)</sup>, w którym ją pod strażą dwóch murzynów zamknięto, słyszała jak zebrani u ojca beduini ostrzyli noże, czyścili strzelby, złożyli i przeklinali; jak każdy z nich przysięgał na brodę proroka, iż pierwszy nóż lub kulę utopi w piersiach młodego Fellaha. Dosłyszała też głos Hassana powtarzający jej imię; wiedziała, że i ją kara nie minie. Jakoż trzeciego dnia od chwili strasznego odkrycia wbiegła do izby jedna z niewolnic przynosząc Leili rozkaz ojca, aby jak najspieszniej do dalekiej zbierała się podróży. Z pośpiechem zarzuciła Leila czarną habarę<sup>3)</sup>, upieła zasłonę nad czołem, zawieszając na piersiach święte amulety, ukryła pod płaszczem biały kwiatek „henny“—dar ostatni kochanka.

Przed zagrodą stało kilka wielbłądów, dźwigających szare płótna namiotów i ciężkie kłody drzewa przeznaczone do ich przywiązania. Leile wsadzono na osiodłanego osiołka i otoczyły ją służebnice; opodal zaś postępowało grono milczących, ponurych Beduinów, między którymi poznała Leila dziką, okrutną twarz Hassana.

Cała karawana skierowała się w stronę pustyni a gdy nad brzegiem Nilu zatrzymano się chwilę, stary Abdallah ułamał gałąź zieloną palmy rosnącej na wybrzeżu i złożył ją na grzbiecie wielbłąda.

Powoli krocząc, przybyli wreszcie na wzgórze, kędy Leila pierwszą miała schadzkę. Tu Abdallah rozkazał sługom rozbić namiot, a w pośrodku wkopać w ziemię ciężki słup drewniany, opatrzony żelaznym łańcuchem. Poczem ująwszy za rękę Leile sam własnoręcznie ciężkie okowy nałożył na jej delikatne, białe ręce i chwytając świeżą gałąź palmy zatknął ją głęboko w suchy piasek, tuż koło słupa, u stóp Leili.

„Oto“—rzekł głosem drżącym—„losy twoje, dziewczyno wyrodna, zdajemy na sąd Allacha. Jam nie sędzia lecz ojciec, niech więc Bóg sam cię osądzi. Przez miesiąc cały, dopóki na niebie księżyc nowy nie zabłyśnie, przykuta do tego słupa będziesz polewać łzami tę oto krzewinę;—jeśli ona nowym wybuja liściem, będzie to znak, że Allach ci przebaczył, więc i jać również przebaczę i przyjmę w progi domu mego. Płótna namiotu—dodał ciszej—chronić cię będą od skwarnych wichurów, a wierny murzyn dostarczy pożywienia tobie i służebnicom, które nieustannie strzedz cię będą. Jeśli jednak Bóg nie ześle ci aniołów swych na pomoc; jeśli ta palma po miesiącu uschnie, natenczas pójdziesz, nie jako żona, ale jak najpodlejsza z niewolnic, zamiatać włosem progi tego, którego zdradziłaś, ja zaś przeklnę chwilę, w której powiła cię matka twoja.“

„Nie spodziewaj się jednak—odezwał się w tej chwili szyderczy głos Hassana,—aby twój luby przyszedł cię z kajdan uwolnić; sam dziś w nocy ten oto nóż utopiłem mu w piersiach.“

Na—te słowa jęk straszny wydobył się z piersi mileczącej dotąd dziewczyny; całym ciężarem osunęła się na ziemię. Podbiegły niewolnice, aby żałować zemdloną, beduini zaś opuścili namiot—powtarzając z cicha: Ja salahm! ja salahm! 1).

Cisza i smutek zapanowały w namiocie Leila, nad rozległą zaś płaszczyzną pustyni noc zapadła nie jak zwykle srebrna i cicha, ale noc chamsinu<sup>2)</sup> ciemna, duszna, ponura, noc śmierci i zniszczenia; wichur skwarny jak oddech szatana dał po dolinach i przepaściach kamiennych, podnosił słupy kurzawy i jakby skrzydłami ciężkimi uderzał niemi raz po raz o ściany namiotu, w którym drżące ze strachu kobiety, tuląc się do siebie, usnęły w końcu, ciężkim skwarem znużone. Jedna Leila nie spała, nie czuła skwaru, nie słyszała wichru, ale jakby martwa, obłąkanym przed siebie patrzyła wzrokiem.

Nagle zaszeleściły płótna namiotu i u wejścia ukazała się postać młodego Achmeda.

Z radością zerwała się Leila, ale skinął na nią smutnie, ukazując ręką na pierś skrwawioną. Wtedy poznała nieszczęsna dziewczyna, że było tylko cień jej ukochanego. Zbliżył się on ku niej, a odchylając fałdy płaszcza, wydobył z zanadrgarskiej ziemi czarnej i ziemią tą starannie otoczyl zasadzoną w pośrodku namiotu palmę. Potem złożył pocałunek na czole płaczącej dziewczyny i znikł za zasłoną namiotu.

<sup>1)</sup> Achmed ebn Ibrahim, znaczy tyle co Achmed syn Ibrahima; Arabowie nie mają nazwisk rodowych, tylko używają imion rodzinnych dla bliższego określenia nazwiska.

<sup>2)</sup> Bedzisz, wieś w pobliżu Kairu.

<sup>1)</sup> „Nabut“, bicz ze skóry hipopotama; jedno silne uderzenie często kalectwo lub śmierć nawet sprawia.

<sup>2)</sup> Haremlik, oddział mieszkania przeznaczony dla kobiet.

<sup>3)</sup> Habara, czarna płaszcz jedwabny, zwykły strój Mułmanek w Egipcie.

<sup>1)</sup> „Ja salahm!“ wykrzyknik podziwienia, trwozi i zgrozy zarazem.

<sup>2)</sup> Chamsin, wichur skwarny, straszny gość pustyni, powtarzający się przez 50 dni w porze wiosennej, z kąd od słowa 50, „chamsein“ nazwany chamsinem.

Odtąd co nocy zjawiał się w namiocie duch młodego Araba, co nocy garść żywej, wodą Nilu zroszonej ziemi dorzucał do piasków otaczających zieloną palmę, która też wkrótce bujne rozwinęła liście. Ale w miarę jak młoda krzewina bujać zaczynała, tak znów Leila znękana bólem, znudzona bezsennością, nikła i gasła z dniem każdym. Ręce jej drżały, usteczka bladły i oczy błyszczały gorączką.

Wreszcie przeminął straszny czas próby; pełnego wieczoru srebrny sierp księżycy ukazał się znów nad szczytami Mokattamu, zwiastując miesiąc „Zul-Kadeh.“

Nazajutrz zaledwie świt pierwszy zarumienił czoła Piramid, już stary Abdallah w gronie krewnych i przyjaciół śpieszył w pustynię. Żal za córką, czas i samotność złagodziły gniew jego; któż więc opisze jego radość, gdy odchyliwszy płótna namiotu, ujrzał zasadzoną przez siebie palmę świeżym okrytą liściem. Z głośnym okrzykiem rzucił się ku córce i podniósł ją w objęcia, ale w tejże chwili uczuł, że ciało Leili sztywnieje, całym ciężarem usuwa się na jego ramię i że głowa jej opada bezwładnie; wtedy poznał rozpaczonego ojciec, że konającą córkę na rękach dźwiga. „Allah kerim!“ — zawołali Beduini, a Leila ocknęła się na chwilę i ostatnim woli wysiłkiem wskazała ręką na wzgórek, otaczający młodą palmę. Zrozumiał ojciec ruch ten jej ręki i nieszczęśliwą córkę pochować kazał pod cieniem bujnie rozrosłej krzewiny.

Od tego czasu lata minęły; stary Abdallah i mściwy Hassan dawno snem wiecznym usnęli; wspomnienie Leili zacierać się zaczyna w pamięci Beduinów, tylko samotnie rosnąca palma krzewi się i buja w pustyni na dowód, że Allah litościwszy od ludzi, nie potępił serdecznego uczucia dwóch serc młodych <sup>1)</sup>.

## Z bieżącej chwili.

— Ministerium oświaty opracowuje jednolite prawidła dla osób i instytucyj w przedmiocie urządzania odczytów popularnych; donosi o tem „Syn Otecz.“

— Rada Państwa ma podobno w lutym r. p. rozważać projekt przepisów o awansowaniu urzędników cywilnych. Rangę mają być udzielane tylko za odznaczenia służbowe, nie zaś, jak dotąd, za lata wysłużone; przyczem więcej niż połowa rang obecnych ma być skasowana.

— Ministerium komunik. powiększy wkrótce liczbę szkół kolejowych, w celu wykształcenia wszechstronnego maszynistów.

— Na giełdach ma być przez ministerium skarbu utworzona specjalna posada „biegłego“, który ma czuwać nad handlem mięsa. Biegły taki ma być wybierany z pośród handlarzy mięsa.

— Warszawskie Towarzystwo pszczelniczo-ogrodnicze szybkim krokiem kroczy na drodze postępu. Jednym z jego głównych środków oddziaływania na rozwój pszczelnictwa i ogrodnictwa są kursa, na których można poznać tę pożyteczną gałąź gospodarstwa. Słuchaczami są tu przeważnie włościanie i ludzie mniej zamożni. Dla nich przebywanie w Warszawie połączone jest z kosztami, które częstokroć przekraczają

<sup>1)</sup> Baśń ta oparta jest na podaniu ludowem, które z ust Beduinów słyszałam.

budżet domowy. Dla tego Towarzystwo zakupiło kolonię koło Brwinowa. Za przestrzeń 11 mórg zapłaci ono 8025 rub. Zakupiony obszar jest częścią majątku Otrębus. Tu staną budynki przeznaczone na filię dla kursów pszczelniczo-ogrodniczych. W ogrodzie zaś, otaczającym budowlę, urządzoną zostanie szkółka drzew mrowych, które będą sprzedawane możliwie tanio. Celem większego rozpowszechnienia, drzewka te mają być rozwżone nawet po jarmarkach. Akt kupna kolonii został wczoraj sporządzony i podpisany.

— Na ostatnim posiedzeniu rady Towarzystwa higienicznego rozpatrywano projekt budowy gmachu na pomieszczenie instytutu higieny dziecięcej fundacyi barona Lenwala. Plan wykonany przez budowniczego p. Orzechowskiego uznano za zbyt kosztowny. W obec tego autor projektu przyrzekł wypracować projekt tańszy. Rozpatrywano dalej projekt ogólnej organizacyi tego zakładu. W końcu uchwalono zaprosić wszystkich członków na ogólne zgromadzenie, którego termin oznaczono 11 listopada o godz. 8 wiecz. w sali Muzeum. Towarzystwo liczy obecnie około 300 członków. Na zebraniu listopadowem podzielił się on na sekcye, aby rozpocząć pracę w celu urzeczywistnienia zadań Towarzystwa.

— Odbędzie się posiedzenie komisji budowlanej nowego gmachu politechniki. Komitet, zarządzający politechnikę warszawską, otrzymał od ministerium spraw wewnętrznych zawiadomienie, że władza zgadza się na oddanie przez miasto komitetowi pod budowę własnej siedziby politechniki całego placu miejskiego powystawowego, z wyjątkiem części jego, zajętej na szkółkę drzewek.

— Wśród sum, które rozporządza warszawskie Tow. dobroczynności, znajdują się tak zw. wsparcia stypendyalne. Są zapisy, przy których fundator dodał pewne warunki w słowach, mogących być pojmowanymi w sposób bardzo rozmaity. Dla ustalenia tej interpretacyi opracowane zostaną instrukcye dla tych zapisów. Zajmie się tem wybrana przez zarząd komisya.

— Zawiazuje się w Warszawie nowe Towarzystwo akcyjne, elektryczne, mające na celu wyrób maszyn do wytwarzania elektryczności, motorów elektrycznych, oświetlenia elektrycznego miast, zakładania tramwajów elektrycznych i t. p. Nowe Towarzystwo akcyjne posiadać ma kapitał zakładowy 9,000,000 rb. Zarząd techniczny podobno z udziałem głośnego wynalazcy Szczepanika, złożony ma być wyłącznie z inżynierów i techników miejscowych.

— W Petersburgu powstaje klub wynalazców; członkami klubu będą mogły być osoby, które dokonały jakiegos wynalazku i podały o tem wiadomość do departamentu handlu i rykodziel. Przy klubie będzie się znajdowało muzeum, gdzie będą zebrane modele wynalazków jego członków.

— W Petersburgu powstaje fabryka tanich zegarków kieszonkowych z rosyjskiego materiału. Fabryka wyrabiać będzie około 10,000 zegarków rocznie.

— W Petersburgu w drugiej połowie listopada zacznie grywać teatr polski, który da dzieś się przedstawić. Dyrektorem towarzystwa jest p. Popławski, a główną siłą personelu znana artystka p. Gabryela Morska.

— Jan Kasproicz poeta, we Lwowie zamieszkały, napisał nowy dramat w 3 aktach „Bunt Napierskiego.“ Akcya toczy się w połowie XVII wieku na Podkarpaciu. W teatrze lwowskim rozpoczęto próby tego utworu.

— W tych dniach w jednym z sądów pokoju sądzoną będzie ciekawa sprawa o honorarium-

autorskie. Z akcya cywilną o 300 rubli za sztukę, występuje literat przeciwko dyrektorowi teatryku ogródkowego.

— W Piasecznie na gruncie kolonisty Oppmana, tuż przy stacyi kolejki wilanowsko-grójeckiej, ośmiu chłopców, zajętych sypaniem okopów ziemnych dla ochrony buraków na zimę, wykopało z ziemi garnczek, miary czterech kwart, napełniony monetą srebrną, z czasów Stanisława Augusta. Chłopcy, rozechwytawszy monetę, ile który zdołał porwać, rozbiegli się po mieście i rozsprzedali pojedyncze sztuki za bezcen handlarzom. Niewiadomo, czy oprócz monet ze stemplem Stanisława Augusta nie znajdowały się starsze sztuki.

## Myśli Deotymy.

Komu prawda raz w duszy otworzy powieki.  
Ten wszystko rzuci, śmierci pójdzie na spotkanie.

Byle jeszcze ją ujrzeć. To miłość na wieki.

A najlepsze męczeństwo, nie to co najkrwawsze,  
Lecz to, co nieuznane.

Najwyższy objaw boskości: prostota.

Późno uwieńcza potomność daleka,  
Ale im dłużej swe sądy rozważa —  
Tem nieomylniej orzeka.

Ze wszystkich smyczy na sferę człowieczą  
Najniebezpieczniejsza smycz dumy.

W duszy dla natchnień otwartej  
Szyderstwo może mignąć pustotą niewinną,  
Ale nigdy nie powinno  
Zapisać osobnej karty.

Chociażby dusza stała nad otchłanią,  
Miłość i Bolesć, jeśli poszły za nią,  
Same jej niebo otworzą.

Więcej szczęścia jest na świecie  
Niż o tem pisano.

Miłość wiecznie szepce te słowa: Na zawszel

Miłości! Tyś zawsze wielką —  
Wielką w twoich wątpieniach — wielką w twojej  
[wierze —  
Jeszcze większą w żądaniach — największą  
[w ofierze.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: arkuś 6-ty powieści, p. t. *Dla sztuki*, przez hr. A. Klinkowstroem. Przekład Z. S.

**Treść:** Improwizatorka, przez Szczęsną. — Za pogiem raju. Cykl piosnek, przez Szczęsną. — Regina Żółkiewska. Sylwetka historyczna (dokończenie). — Pamiętniki Adaminy z Bielskich Moszczeńskiej, przez J. Moszczeńską (dalszy ciąg). — Samotna palma. — Z bieżącej chwili. — Myśli Deotymy.

**Dodatek obejmuje:** *Dla sztuki*, powieść, przez hr. A. Klinkowstroem. Przekład Z. S. arkuś 6-ty. — Przegląd mód. 29 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycye obiadu.